1843. NR. 16. ROK 2.

PRZEGLĄD
NAUKOWY

TREŚĆ: Fantazyja przez Gabryellę — Wykład Nowéj nauki Wiko (la scienza nuova) podług p. Michelet przez Feliksa Jezierskiego. — Główne postępy mowoznawstwa (ustęp drugi z materyałów do filozofii mowy) przez Feliksa Jezierskiego — Dwa ustępy z życia nieznanego wieszcza przez [Paulinę z L. W........ — Kronika piśmiennicza polska.

FANTAZYJA.

Tysiąc wieków mijało jak człowieka plemie,
Codzień świeżemi trupy zasilało ziemię,
A ziemia ich żyznémi sokami karmiona,
Codzień téż więcéj bogactw wyrzucała z łona.
Kędy dziś błotne bagna, zdradne trzęsawiska,
Zgubnych wyziewów matki i gadów siedliska,—

Tam łąki wypłynęły w nowe, strojne szaty,
I drzewa niebotyczne i barwiste kwiaty;
A co tylko jest kruszców, lub drogich kamieni,
To wszystko w cudnych kształtach na ziemskiéj przestrzeni
Tysiącem ogniów biysło od promieni słońca;
A morza zwyciężone od końca do końca,
Cofnęły się przelękłe przed lądem swym panem,
I ląd nad niezmierzonym zawisł oceanem,
I był piękny, zielony, ogromny, szeroki,
I do koła go srébrne owiały obłoki,
I zdawało się wtedy, że natura cała,
Rześka, silna, z przeszłości swojéj tak powstała,
Jak młodzian, co z dzieciństwa do życia się budzi.—
Gdzież była starość świata? — Starość — w sercach ludzi!
Człowiek sam jeden dźwigał ciężkie wieków brzemie,
Dawnémi cierpieniami młodą smucił ziemię,
I sam tylko był stary zgrzybiałą starością,
Która śmieje się z czucia, pogardza młodością,
Która w duszy polotach i serca słodyczy,
Widzi grobu igraszkę, kruszcowy zysk liczy;
Która wszystko, co tylko jest pięknością, cnotą,
Przekuwa zimnym mózgiem na kłamstwo lub złoto —
I człowiek był tak stary — od kolebki dziecka
Mowę jego kształciła obłuda zdradziecka,
A jak dziś w wyobraźni pobożnego ducha,
Anioł dziecięcia strzeże i słów jego słucha,
I przemawia do niego snem, lub matki pieśnią,
Tak wtedy myśl ziejąca zgubną grobu pleśnią
I chciwą żądzą złota, przy kolebce stała,
Fałszem albo rachunkiem dziecię kołysała.
Kiedy z chłopca mąż wyrósł, z dziewczynki dziewica,
Wpierw nim wiek, namiętność zorała im lica,
Wpierw nim lat późnych troski, zwątpienie i chciwość,

Przywiały im na skronie zbezcześcioną siwość.
Żaden już głos na ziemi z uczuciem wesela,
Nie wyrzekł imion brata, ziomka, przyjaciela;
Każdy był groźnym wrogiem lub wroga ofiarą,
Przyjaźń zwano oszustwem, miłość śmieszną marą,
Sławę echem próżności, szczęście złem, zuchwałém,
Poeziję próżniactwem — poświęcenie szałem! —
I tak bez wiary, czucia, nędzne było życie,
Choć natura swe dary rozlała obficie,
Choć cała kula ziemska i niebios zasłona,
Na wspólne szczęście wszystkich była urządzona.
Raz tylko – w długiéj wieków ludzkości kolei,
Raz błysła odrodzeniem iskierka nadziei.
Zjawił się człowiek nowy, z młodzieńczym zapałem,
Wzniósł się myślą szlachetną i sercem wspaniałém —
A jak nad duchem ciemnic postać archanioła,
Tak on, gdy inni w ziemię pospuszczali czoła,
Szukając reszty złota dla duszy pogrzebu,
Smiało stanął nad niemi — wzniósł oczy ku niebu,
I wziąwszy dzielną ręką wieszczéj lutni tony
Zabrzmiał hymnem proroka wśród tłuszczy zdziwionéj.
„Ludzie! słuchajcie pieśni! Lndzie bracia moi!
Czy z was który z wysoka włada i panuje,
Czy nisko pochylony wśród trudów i znoi;
Czy schodzi z tego świata, czy na świat wstępuje,
Czy złotem z ziemią matką skuty czy żelazem,
Kocha czy nienawidzi — złe czy dobre działa,
Wy wszyscy moi bracia — moja wszystkich razem,
Jedną wielką miłością dusza ukochała.
Bracia słuchajcie pieśni! Pieśń, to anioł Boga!
Pieśń, to nauka wieków — przyszłości przestroga,
To silny głos zwiastuna, co na puszczy woła,
Jasny promień nad głową prawdy Apostoła!

Bracia! słuchajcie pieśni! — Jak Anioł odleci,
Zginą wieków pamiątki — przyszłość zaciemnieje,
Glos zwiastuna o twarde serca skamienieje,
A jasny promień zgaśnie — Któż z was go roznieci?
Gdy wszystko będzie zimne, i martwe i głuche,
Kto wywoła na ziemię silnemi piersiami
Z grobów życie — z wspomnienia przyszłości otuchę?
Kto was w niebo powiedzie światłości szlakami —
Jeśli pieśń wieszczów zmilknie? — O ziemscy mieszkańce!
Póki Bóg jeszcze pieśnią do was się odzywa,
Póki w duszę wybranych hymn natchnienia wlewa,
Jako wonną oliwę w świątyni kagańce —
Słuchajcie jego głosu. Ludzie, bracia moi!
W pokorze przed nim wasze nachylajcie czoła,
Otrzyjcie serce z pyłu ziemskich niepokoi,
Dziś Bóg pieśnią — lecz kiedyś piorunem zawoła.

Ludzie, słuchajcie pieśni! ja słowo pociechy,
Ja ludzie niosę słowo przyszłego zbawienia,
Ono wasze i ciężkie ojców waszych grzechy
Zmyje wodą zapomnienia.

Ludzie, słuchajcie słowa! — w niém świat, przyszłość cała,
W niém Bóg! słuchajcie ludzie! w niém szczęście i siła,
W niém się najpierwéj ziemia nasza odezwała,
Wieczność dobrego zrodziła!

Ludzie, słuchajcie słowa! Jego to zgłoskami
Swiat ku doskonałości toczy swoje kręgi,
I o nieskończoności piszą niebios księgi,
I Stwórca łączy się z nami.

Ludzie, słuchajcie słowa! — Miłość, miłość wieczna,
Czasem nieokreślona, w istnieniu konieczna!
Niechaj z pochwalną pieśnią, brzmi w nieskończoności,
Bóg słowa — słowo miłości!

O ludzie ja was kocham! Ja tak ukochałem —
Że gdyby mi na barki ciężki krzyż przykuli,
I biczem katowali, i na twarz mi pluli,
I na skronie cierniową włożyli koronę,
I żółcią napawali me usta spragnione, —
Ludzie! jabym nie płakał — A wtenczas płakałem
Kiedym patrzył na ród wasz niedolą znękany,
Na ducha obłąkanie i serc cieżkie rany!
I gdym pierwszy raz wołał, a wyście nie przyszli
Słuchać pieśni o Bogu, świętéj uczyć myśli.

Ludzie! ludzie! gdzie wy dążycie
Przez łzy i zbrodnie?
Stójcie! chwilowi przechodnie.
Oh! stójcie bo zgasicie
W kałuży krwi i błota
Promienną iskrę żywota

Ludzie, nie idźcie gdzie głosem szyderca,
Duch piekieł kłamie Bogu i bluźni nauką,
Żeby stokroć przeklętą sztuką,
Resztki spokoju wyszarpać wam z serca,

I cięższéj, niżli ciała w żelazne łańcuchy
W przewrotne fałsze okuć wasze duchy!
Oh! nie idźcie tam ludzie! Ludzie bracia moi!
Do mnie! Do mnie! ja wszystkich przytulę.
Moja pieśń ukoi
Wszystkie troski, wszystkie bóle!
Moje ramię obejmie jedném uściśnieniem
Wszystkie ludy! O bracia, pójdę mojém pieniem
Budzić uspione w obojętnéj nocy,
Z południa ku północy,
Z zachodu ku wschodowi.
Głos mój wypowie,
Pieśń moja wyśpiewa
Rozkaz Boga — Cel ludzkości,
Słowo braterskiéj miłości,
Ziemia będzie szczęśliwa!

Umilkł wieszcz — a w długiém milczeniu
Zdały się tłumy ludu dziwić jego pieniu!
On drżący, jako jeszcze drżące lutni tony,
Patrzył okiem w ich duszę — śledził bieg ich myśli,
Aż głos jakiś z pośrodka zawołał „Szalony“ —
I ludzie powtórzyli, i poszli jak przyszli,
I on sam został tylko — głowę schylił smutnie,
O sterczące skał brzegi rozbił swoją lutnię,
I znowu spojrzał w niebo, ostatniém spojrzeniem,
Ostatnią łzę uronił nad bratniém plemieniem —
I skonał — A ród ludzki daléj szedł bez celu —
Ginął, niszczał — na ziemi zostało nie wielu —
Potém dwóch tylko ludzi — dzieci matki jednéj,
Ale dalsi od siebie niż ziemia od słońca,
Niźli niebo od piekła — bogaty i biédny —

I biedny sięgnął ręką po brata dostatki,
Z głodu zgrzytnął zębami — własności obrońca,
Bogacz, szkielet bez serca, zdobył sił ostatki,
Całym skarbów ciężarem cisnął w piersi brata,
Aż nędzarz padł pod ciosem — Sam bogacz wśród świata
Dumnie powiódł oczyma — i cieszył się z tego.
Oh! cieszył się samolub, że nié ma drugiego —
Że był sam — Ale chmura płynęła po niebie,
Ostatnia, grom ostatni wyrzuciła z siebie,
I ostatniego w świecie zgładziła człowieka! —
I wtedy pieśń harmonii zabrzmiała zdaleka,
I drzewa się w miłośne posplatały wianki,
I ziemia drżała szczęściem jak łono kochanki,
I w piękniejszéj naturze, wszystko piekniéj żyło,
I wszystko było dobrze — bo ludzi nie było. —

Gabryella.

WYKŁAD
NOWÉJ NAUKI WIKO
(LA SCIENZA NUOVA)
podług p. Michelet.

Jeżeli wielkim był wpływ Niebuhra przez to, iż zwątpieniem swojém wywołał reakcyą, tedy znaczenie i wpływ Wiko możnaby nazwać wszechmocnym. Dlaczego jednak Nowa nauka filozofa-historyka ziemi włoskiéj, nie wpadła tak prędko na prąd siły rozumowéj w dziejopisarstwie, dlaczego tak prędko i w tak gwałtownych popędach nie przetworzyła stanowiska dziejów w ogóle, albo dziejów rzymskich? Niebuhr był człowiekiem północy, żelaznéj dłoni, natchnienie tego kraju, w którym się urodził, jest również ciężkie, gotyckie. Jakkolwiek przyznają mu czyn odbudowania historyi rzymskiéj (pr. Urbino Badania we względzie urządzeń wewnętrznych i Historyi rzymskiéj), wszakże na samém dnie jego układu leży ziarno zaprzeczenia. Wywiązujący się ztąd ujemny charakter systemu, zjedna twórcy w krótkim czasie powszechne prawo obywatelstwa. Albowiem zniszczenie zdaje się z pozoru

przynajmniéj prowadzić do zmiany, a cóż w ogóle pożądańszego dla pokoleń naukowych, jak nadzieja nowych form i przytoczeń, a dopiéroż kiedy żywioł zagłady i odnawiania, jak z wielkiego źródła, wytacza się z ducha wieku? bo do takiego wieku należał Niebuhr. W zupełnie innych warunkach występuje twórca Nowéj nauki na scenę.

Myśl do rozwiązania filozoficznych zagadnień drogą samodzielną, uosobiona w Dekarcie, dokonała zburzenia staréj budowy scholastycznéj; hasłem jéj stała się wiara w potęgę uznania, silne zaufanie metodzie, a ich godłem owe sławne: „myślą więc jestem." — Idea przywiązana do tego godła pochwyciła wszystkie dążności XVII stulecia — myślano, rozumowano w imię Dekarta — Bo to imię było nakształt panowania rozszerzonego w całéj Europie — aż do Alpów.

Kiedy więc wielki koloss filozofii, założony w Hollandyi, rzucał duże cienie i niemi zasłaniał pojedyncze zdolności, w tym samym czasie za Alpami, w ojczyźnie Wirgiliusza i Danta, w siedlisku mistycznéj Sybilli, mąż natchniony podaniem o dawnéj poetycznéj wielkości Włoch, pracował nad wynalezieniem powszechnéj planety, około któréj krążyć mają wszystkie narody! Wiko (Vico Jan Chrzciciel) urodził się w Neapolu w roku 1668 (Życie Wiko, przez niego samego opisane) z ojca księgarza. Poznawszy języki starożytne, scholastykę, teologią i prawo, nie myślał wcale zatrzymać się na kresie swojego wieku. Dla tego to, powiada Michelet (Principes de la philosophie de l' histoire, traduits de *la Scienza Nuova)* Nowa nauka, tak była zaniedbaną w wieku ostatnim, ponieważ jéj kierunek zwrócony był do naszego. — W istocie, w nim znajdujemy już rzucane nasiona do największych myśli, które współczesny nam świat zaszczycają. — Tak znajdziemy już tu przypuszczenie Wolfa: iż Illiada, jako dzieło narodu, jest ostatnim wyrazem szczéro-natchnionéj poezyi. Przed Hartungiem jeszcze Wiko przewidział, że drogą postępu języków

jest metafora. — Przed zjawieniem się Symboliki Kreuzera, on pod dużemi wymiarami bohatérów, pod mityczną szatą półbożków i olbrzymów starożytnych (przypuszczał jednak i peryod olbrzymów), dojrzał myśli dziejowe. Wyprzedził hypotezę Montesquieu i Gansa, przyjmując obyczaje ludów za piérwszy kryształ, podług którego tworzą się i rozwijają prawa. — On także wyprorokował sławną myśl Niebuhra o patrycyacie i plebejacie. Nawet co jeszcze powiem: nie jedno z miejsc Nowéj Nauki uważać można za tekst najnowszéj filozofii. Np. ta myśl:" cudny układ państwa powszechnego (termin) właśnie w tém spostrzegać się daje, że nawet w zepsuciu swojém nosi poprzedzacze zarody do nowych form" — ta myśl, mówię, wywołona tylko od stanowiska teosoficznego, jakiem ją Wiko napiętnował, przypomina zupełnie Heglowską zasadę rozwoju, albo swięty łańcuch Herdera, „Żadna rzecz, powiada Wiko, nie może długo pozostać za obrębem swojego stanu przyrodzonego" a Hegel mówi: „interesem idei jest, stać się dla siebie w tém, czém jest w sobie, czyli rzeczą dei jest, uprzedmiotować się saméj sobie." Tak to wielka myśl, nakształt siły elektrycznéj, objawia się w różnych peryodach, skoro znajdzie swojego przewodnika! nie jest to naśladowaniem.

Powiedzieliśmy że Wiko nie poprzestał na kresie swojego wieku, bo niemiałoż mu być szczupło w tym wieku, który z nim nic nie miał wspólnego? — „Po przybyciu mojém do Neapolu, widziałem się niejako obcym w ojczyźnie." Snać mógł on powiedzić z poetą rzymskim, *barbarus ego hic sum, quia non intelligat ulli.* Filozofia zawarta była w medytacyach Dekarta, w jego *rozprawie o metodzie,* wyłączającéj poezíją, historyją i wymowę z dziedziny nauk. — Platonizm, który ożywiał tak silnie wiek XVI, skazany na więzienie po klasztorach, uprzątnął miejsce dla formuł liczebnych. Konały powoli nauki, poezija przerodziła się w niesmak i nadętość, owe

to poprzedniki upadku umysłowego — bo nie żywiło ich czyste źródło piękności Danta i Petrarki; zaniedbano nawet mowę łacińską — Kiedy więc Włochy, dzieląc smutną koléj osłabienia, przyjmując filozofiją francuską i angielską, niszczyły tym sposobem istotę własną, sam Wiko stanął przeciw powziętym dążnościom, i co dziś nam, przesyconym sztuką naukową, doradza Haupt, doradził Wiko wiekowi swojemu — a naprzód sam z gorąca chęcią i z trudem niezmordowanym rozpoczął kierunek.

Był to kierunek cofnienia się, powrotu do starożytności poznania jéj, wcielenia się w nią. Wiko przedsięwziął długi zawód czytania klassyków w pierwotworach. Dopiero z tym orężem w dłoni, rzucił się na Kartezianizm, a bojem wstępnym, bo nietylko na formę jego, która już nieco traciła wiarę publiczną, ale na samą metodę, którą nawet przeciwnicy Renuta przyjęli, i która dawała mu panowanie nad Europą— W tym celu utworzył rozprawę z następującém zagadnieniem: Czy nie możnaby ożywić jednym duchem ogólnéj, wszelkiéj wiedzy boskiéj i ludzkiéj, tak, aby wszystkie nauki podały sobie ręce nawzajem, aby tym sposobem wywiązana wiedza powszechna przedstawiła jakiego Arystotelesa albo Platona, z całym ogromem wiadomości dzisiejszemu wiekowi właściwych?“ Był to potężny raz, zadany nowéj filozofii, jéj kierunkowi rachunkowemu, cios na zbytnie zaufanie zmysłowi indywidualnemu.

Zajmując się dotąd wyłącznie Platonem, Tacytem i Bakonem, Wiko nie nadał jeszcze badaniom swoim cechy dobitnéj, dopiéro czytanie Grocyusza ustaliło jego myśl i dokonało stanowczego pojęcia systemu. W rozprawie ułożonéj r. 1719, przejętéj głębokim pietyzmem, Wiko rozwinął przedmiot następujący. „Żywioły wszelkiéj wiedzy, boskiéj i ludzkiéj, sprowadzić można do trzech zasad: wiedzy (nosse), chcenia (velle) możności (posse). Wszystkie te trzy żywioły wspiera jedno-

ogólny um (intelligentia), a jego okiem jest rozum — ten rozum jest odblaskiem wiecznego światła i prawdy boskiéj. — Wspomniane trzy żywioły, o których rzeczywistości takeśmy przekonani, jak o tém że żyjemy, zamierzamy sobie wytłumaczyć za pomocą niewątpliwéj zasady — Za pomocą myśli. — W tym celu rozdzielamy nasz przedmiot na trzy części. W I. okazuje się, że wszystkie zasady nauk pochodzą od Boga; w II, że światło boskie przenika wszystkie nauki w trzech wzmiankowanych żywiołach, i że je wszystkie, związane ścisłém ogniwem, to światło układa w jedność i do Boga, jako źródła, odnosi; w III wykażemy wszystkie opinie dotyczące zasad i początków każdéj nauki, zbijając przeciwne." Po tych i wielu innych pracach, Wiko wspiął się nakoniec do zbudowania wielkiego systemu i ogłosił r. 1725 dzieło pod tytułem: „Zasady nowéj nauki, zastosowane do powszechnéj natury ludów, za pomocą których można odkryć nowe zasady przyrodzonego prawa ludzkiego." Dziełko to miało kilka wydań, różniącycych się jedno od drugiego formą. — Ostatnie z nich r. 1744 zyskało jedno-zgodną opinią wyższości nad inne. Wykład ciemny, lecz poetyczny i pełen majestatu, terminologia nowa i częstokroć dziwaczna, bez wyjaśnienia, są jego głównemi barwami. — Trzymając się wykładu Micheleta, twórcy wielu znakomitych prac w zawodzie historyi rzymskiéj, francuskiéj, przedstawiamy czytelnikom w postaci, o ile można było, popularnéj, tę sławną szkołę w dziejopisarstwie, któréj treść równie jest wielka i poetyczna jak i samo imię.

W ogromnéj rozmaitości czynów i myśli ludzkich, języków i zwyczajów, jakie nam przedstawia historyja, często spostrzegać się dają też same rysy, też same charaktery. Częstokroć narody w przejściach od jednéj formy do drugiéj, podobną postępują drogą. Owoż, oddzielić w tych zmianach nieustannych, żywioł trwały i nieruchomy od czasowych objawień, przez wspięcie się po wypadkach szczególnych dojśdź do utworzenia historyi powszechnéj i wiekuistych, opisać koło idealne

w którem krąży świat rzeczywisty, jest zadaniem Nowéj nauki. Ta więc będzie zarazem historyją i filozofiją ludzkości.

Pytam więc: gdzież będzie nić zawiązująca cały pochód dziejowy ludzkości, gdzie ognisko z któregoby roztaczały się niezliczone promienie na obszerny okrąg życia narodów? w religii, w owym tworzącym i zachowawczym pierwiastku spółeczeństwa. — To stanowisko różni się jednak wielce od pospolitego pietyzmu natury, zakresem. — Dotąd mówiono tylko o teologii naturalnéj, Nowa Nauka jest teologią spółeczną, jest historyczném wyjawieniem opatrzności, która prowadzi i kieruje wielkiem państwem ludzkości.

Inne nauki miały za cel udoskonalenie człowieka, lecz żadna z nich nie zmierzała do poznania żywiołów postępu i ich źródła — Nowa Nauka, odsłaniając te żywioły, przewidzieć może drogi, jakiemi dochodzą ludy do wzrostu i upadku, obliczyć naprzód zakres ich życia. — W skutku takiego poznania odkryć, można jakim sposobem doprowadzić społeczność do szczytu cywilizacyi, połączyć teoryją z praktyką, mądrość z ukształceniem, filozofią z prawodawstwem, mądrość rozwagi z mądrością instynktu.

Nowa Nauka czerpa z dwóch źródeł, filozofii i filologii. Filozofia spogląda na prawdę okiem rozumu, filologia rozbiera rzeczywistość. Filozofia nasyca się i umacnia pewnością faktów; filologia zapala u ogniska filozofii światło teoryi, dla podniesienia faktów do potęgi prawd powszechnych i wiekuistych.

Jakaż filozofija będzie najżywotniejszą? oto taka, która zdoła podźwignąć człowieka z upadku i niemocy, nie rugując go wszakże ze stanowiska przyrodzonego, ani zostawiając całkiem zepsuciu. A więc najpierwsze prawo do niéj mieć powinni filozofowie politycy, a osobliwie Platoniści, ponieważ ci wszyscy zgadzają się na przyjęte przez nas trzy główne zasady: istnie-

nie boskiéj opatrzności, konieczność miarkowania namiętności i wyrabianie z nich cnót towarzyskich, a na ostatek, nieśmiertelności duszy. Te trzy zasady filozoficzne mają każda odpowiednią sobie stronę dziejową, ogólne ustanowienia religijne, małżeństwa i pogrzeby — Filologija, jako poznanie rzeczywistości, dostarczy materyałów nauce prawdy, t. j. filozofii. — Ale ponieważ rzeczywistość, jako dzieło wolnéj woli' w oddzielnych członkach społeczeństwa nié ma stałéj posady, wynika wszelka ztąd potrzeba wynalezienia skali, któraby nam oznaczała znikomą i zmienną rzeczywistość niezmiennemi zasadami prawdy. Zmysł ogólny, to jest sąd pewnéj rzeczy bez samowiedzy — zgodność powszechna w uczuciu przyrodzoném, stanowi mądrość rodzaju ludzkiego i służy za prawidło kierujące światem społecznym. — Wywiązujące się ztąd podobieństwo zasad u rozmaitych i odległych od siebie narodów, tak w języku jak i w dziejach, nie wypływa bynajmniéj z przeniesienia i zamiany wyobrażeń, owszem, jest ono wszędzie samorodném, wrodzoném, za sprawą opatrzności. — Najbardziéj polega to podobieństwo na konieczności w rozwijaniu danych zarodów — człowiek ma w sobie zaród do społeczności, więc człowiek musi być społecznym — Mówiąc wyrazem Hegla: idea społeczności oderwana, zawarta w dobie możności, stać sie musi przedmiotową.

Rozmaitym fazom tego przejścia od zarodów do czynu, od prawdy do rzeczywistości, odpowiadają trzy momenta wyrobienia się myśli towarzyskiéj: boski, bohatérski i właściwie ludzki. — W historyi, piérwszy nazywa się ciemnym, drugi bajecznym, trzeci historycznym — w języku, piérwszy hieroglificznym albo świętym, drugi metapoetycznym albo przenośnym, ostatni, nasz, jest właściwym językiem dziejowym.

Zajmując się głównie dwoma piérwszemi, starać się będziemy (mówi Wiko) wyszukać dolny pokład cywilizacyi w wiekach barbarzystwa, jak je nazywają, a które raczéj zwać-

by należało poetycznemi. — Cały rozum i mądrość rodu ludzkiego już była w owych wiekach posianą — Któżby w tém miejscu nie przypomniał sobie naprzód owych dwóch momentów, które tak znakomite miejsce zajmują w układzie filozofii heglowskiéj, albo powtóre, ostatnich (najświeższych) pojęć estetycznych, które postęp sztuki rozkładają na trzy doby: liryczną t. j. uczuciową albo poetyczną, dziejową i filozoficzną? Wiko nie podziela próżności narodowéj w wyobrażaniu sobie starodawnéj cywilizacyi podług stanu jéj współczesnego, przypuszcza owszem proste i grube formy pierworodnego towarzystwa. Instynkt, albo zmysł powszechny (sensus communis), był najgłówniejszą sprężyną do łączenia ludzi w gruppy społeczne.

Założycielami społeczności byli owi cyklopowie homeryczni — oni to otwierają historyą, tak świętą jak i pogańską. Rzecz dziwna na pozór, że Wiko tak mocno przejęty myślą o symboliczném tylko znaczeniu postaci mytologicznych i bohaterskich, przywraca wiarę w olbrzymów. — Wszakże ta wiara w niezwykłą generacią ludzi przedhistorycznych, polega na dowodach rozumowanych — Wracając bowiem do pierworodnego życia w materyi, narody musiały wyrabiać się w silne, barczyste pokolenia ludów przedpotopowych. — „Nadzwyczaj brudni, powiada Tacyt, wyrośli w te członki i cielska które teraz są przedmiotem podziwu.“ — Żyjąc po lasach, oddani całkowicie zabiegom praktycznym, nie zważali bynajmniéj na cuda otaczającéj ich natury, owszem, panująca w niéj jednostajność oziębiała ich serca — aż dopiero zjawisko rzadkie, piorun, gwałtem wydobył z nich myśl o Jowiszu. „Jowisz zwala olbrzymy.“ — Owoż początek bałwochwalstwa, jest ono utworem obawy, ale nie oszustwa, jak sądzono piérwéj.

Bałwochwalstwo wynikało z dwóch względów: ze względu socyalnego — bo cóż, jeżeli nie religia mogło upokorzyć nierozumną du-

mę siły materyalnéj? ze względu religijnego — albo należało przeprowadzić człowieka przez religią zmysłową do religii rozumu, a przez nią do religii wiary. Obrazem przejścia człowieka od dzikości do wykształcenia, jest rozwijanie się indywiduum — dziecięcia. Dziecię nad wszystkiém się dziwuje, bo nic nie zna, wyobraźnia mając ogromną przewagę nad siłą abstrakcyi, widzi wolę wszędzie, gdzie tylko działanie zachodzi. Podobni do dziecięcia pierwsi ludzie, wszystkie zjawiska wzięli za objawienie bóstw, cały świat rzutów i przemian zasiedlili bożyszczami. Ztąd urosł duży system teologii mistycznéj, mytologii, ztąd muzy, wróżby, wyrocznie. — Nadawać życie istotom martwym, ciało istotom niemateryalnym, wymyślać przedmioty nieistniejące w żadnéj rzeczywistości, owoż trzy drogi do fantastycznych utworów bałwochwalstwa. Więc oni byli poetami, twórcami, bo tworzyli bez uznania, Bóg tworzy przez uznanie w sobie siły tworzącéj — przeto, dla nich sam utwor ich był czemsiś nieznaném, tajemniczém; sami tworzą, mówił Tacyt, i zarazem wierzą.

Taki sam charakter ma język; jest to zbiór znaków wskazujących wprost na same przedmioty — Neptun oznaczał morze, a mowa Homera jest mową złożoną z imion Bogów. Podobno żaden kommentator nie ujął w tak treściwe barwy natury dawnéj poezyi. Cały ów wiek otoczył się religią, życie swoje obwinął w obrzędy, w formy boskie — pismo było pismem świętém, (hieroglify), nie zaś wymysłem filozofów, jedynie do zasłonienia tajemnic mądrości skierowanym.

W wieku bohatérskim ustawał powoli język boski, ustępując miejsca językowi rozdzielnemu (articulatus). Wszakże zachowywały się jeszcze popędy wyobraźni z dawnego peryodu, mowa rzuciła się na przenośnie, porównania, i t. p. Możnaby taką mowę nazwać bohatérską, używają jéj wojownicy, Rzymianie np. więcéj niż dowcipni i rozumujący Grekowie. Język heroiczny używał zamiast pospolitych, imion własnych.

Tarentyńczyk w dawnéj łacinie oznacza trefnisia (napuszczonego wonnościami), Herkules u Greków oznacza bohatéra. Tak, ponieważ nie mogli się jeszcze wznieść do ogólnego pojęcia o *poecie-bochatérze*, więc imieniem piérwszego bohatéra oznaczali wszystkich innych. Późniéj do tego konkretowego pojęcia dodawali coraz to więcéj cech, wziętych z rzeczywistości, i tym sposobem zawiązało się jedno stałe wyobrażenie, malujące wszystkie cechy, które przystoją do typu bohatérstwa albo poezyi — od wspomnionéj zasady żaczyna się właściwy pogląd Wiko na dzieje przed-historyczne, jego wyrazem jest odrzucenie osobowéj istoty Herkulesa, Homera, Hermesa i t. p. Są to jedyne oznaczenia wielkich obrazów idealnych, ale nie faktycznych. — „Nierozwinięty jeszcze umysł starożytnych ludów, powiada twórca historyi rzymskiéj, wkłada na barki jednego to, co było dziełem wieków.“ Hermesa, w brzmieniu takiéj teoryi, bierze Wiko za doskonały typ wynalazczego ducha Egipcian, Romulusa za wyobraziciela spółeczności rzymskiéj w piérwszych początkach, nakoniec Homera za symbol poezyi gminnéj.

Że pogląd symboliczny rzuca najmocniejsze światło na podania bajeczne, dowodzą najlepiéj szczegóły, zachowane o życiu Homera. W takiem to świetle wystawione baśni uzyskują nagle zupełną wartość, i cały tekst staje się zrozumiałym. Dlaczego wszystkie narody przywłaszczały sobie jego pochodzenie? Spór ten był głosem całéj Grecyi, widzącéj w nim odblask swojego charakteru, głosem uznania się plemiennego. — „Dlaczego tyle niezgodnych zdań o czasie w którym żył?“ — bo jego życie ciągnęło się przez pięć wieków po zburzeniu Troi, bo tak długo żył w ustach i pamięci ludu. — „W młodości, mówi daléj tekst, ułożył Illiadę, w starości Odysseę.“ Żywy obraz Grecyi naprzód młodéj, rycerskiéj, zagrzanéj duchem wypraw i podbojów, a potém Grecyi spokojnéj, rozumującéj. — „Był ciemnym i biednym“ bo rap-

sodyści w nędzy wiodąc dni żywota, nucili pieśni o dzielnych charakterach przodków, przechodząc błędnie z jednéj okolicy do drugiéj. Tu także wyjaśniają trzy główne przymioty Homera: jest to węgielny kamień cywilizacyi greckiéj, ojciec poetów, źródło filozofii greckiéj. Co do ostatniego dodać należy, iż filozofowie poźniejsi nie czerpali wprawdzie z Homera, lecz nieraz znajdowali w nim pobudki do badań, a zarazem środek do osłonienia swoich zasad i nadania im świetności powagą imienia. Plato np. nie raz wśród najszczytniejszych polotów przytacza, niby na uświęcenie, wiersz z Illiady!

Poemata Homera, wraz z starą historyją rzymską, są głównym pomnikiem spółeczności pogańskiéj, te więc pomniki do odmalowania jéj obrazu podać nam mogą znaczące barwy — Węgielny kamień życia społecznego położyła religija w sposób następujący: olbrzymi, (którzy w rozumieniu Wiko, są nie symbolem, ale rzeczywistym typem piérworodnéj ludzkości), przerażeni zjawiskami natury, przejęci podziwem, a więcéj jeszcze trwogą na widok silnie oznajmiającéj się natury, wnet pomyśleli o schronieniu się przed jéj natarczywą potęgą — uciekli do grot, do jaskiń. Tym sposobem zrodzona konieczność zatrzymania się, spoczęcia na jedném miejscu, zawiązała piérwszy węzeł życia familijnego. Ojciec, najstarszy w rodzinie, był już z natury jéj władcą. Oba pojęcia ojcostwa i władzy w istocie odzywają się w *patryarsze* (ojciec - władca). Ten jednoczy w sobie ideje przewodnictwa nad wszystkiemi formami życia, nie wyłączając religii — jest najwyższym kapłanem, w znaczeniu tłumaczącego wolę bogów. Władza ojcowska, surowa na oko, okrutna nawet, była wszakże konieczném stanowiskiem, przez które przechodząc ludzkość, gotować się miała do innego kształtu — do władzy cywilnéj. — Zależność patryarchy od bogów, których wolę ogłaszają dzieciom i żonom, nadaje temu peryodowi charakter teokratyczny.

W niem to gnieździ się ów słynny wiek złoty, wiek bezpośredniego prawie łączenia się z bogami — wiek cnoty, która, jakkolwiek dzika, łagodzi jednak, obyczaje wygładza. Religie te okropne, obrzędy krwawe, mają jednak wysokie znaczenie postępu, wyższe od ateizmu, co nic nie zbudował. — Uciśnieni od mocniejszych, wyzuci z żon, dzieci i własności, uciekają do ołtarza szukając opieki. — A tak znowu z zakresów familij rozsuwa się daléj koło towarzyskie, co Liwiusz „*vetus consilium condentium urbem*“ nazywa. — Obrońcami uciśnionych są Heraklidowie, potomki Herkulesa. Kupiąc się koło bohatérów, nie dzielili z nimi celniejszych praw (małżeństwa), lecz późniéj wymogli, prośbą lub groźbą, prawo działu gruntów (lex agraria). Już tu widać nasiona patrycyatu (możnych obrońców), i plebejatu (słabszych, szukających opieki, klientow).— Państwa, albo raczéj gromady heroiczne, rządziły się w zasadzie arystokracyi. — Na dnie władzy królów leżała myśl wojenna. — Gość jest to samo w dawnym języku co nieprzyjaciel (hostis-peregrinus). W zmąconych żywiołach społeczności (patrycyalnym i plebejskim), kłótnia, co się tak wyraźnie odzywa w dziejach rzymskich, przerobiła się powoli na śliczną myśl współzawodnictwa, owéj to sile wytężającéj i rozszerzającéj dawne rzeczypospolite. Jeżeli zapytamy się o cechę znamionującą życie prawodawcze téj epoki, dostrzeżemy, iż i to napuszczone główną barwą teokratyczną. System rządu jest zbiorem obrzędów; miejsce narad ma piérwéj być uświęcone od *Augurów,* wyrocznia poprzedza wszystkie czynności publiczne; owo zgoła, wyrazy czysto religijne: *justa bella, pura bella, acta legitima,* są terminem wieku.

Pojedynki wyobrażały w pewnym względzie sąd boży, bo zapobiegały niszczącym wojnom, sprowadzając je do walki pojedynczéj. Prawo bohatérów było prawem przemocy.—Jedyném wędzidłem jéj potęgi, była druga oddziaływająca potęga słowa (fas-fatum). Illiada przedstawia nam tragiczne skut-

ki, jakich dokazywała moc słowa, również surowém i strasznćm godłem téj władzy jest znana formuła XII tablic *„uti lingua nuncupassit, ita ius est.“*

W wieku ludzkim, formuły religijne przerobiły się na prawne. Zasadą wszelkiego prawa cywilnego były dotąd *fakta*, zdarzenia jednorazowe — a zatém nie polegające na *zasadzie,* na *prawdzie.* Wiek ludzki domaga się zasady, prawa ludzkości rozumowanéj. Pod wpływem takiego kierunku dążność polityczna zmieniła się na cywilną. A co piérwéj wszystko jednoczyło się i środkowało w ognisko, teraz rozpryskuje się od środka państwa na interessa pojedynczych. — Rękojmią tego odśrodkowego biegu państwa, jest powszechne zastosowanie i rozciągnięcie prawa do wszystkich. Zasadą oddziaływającą w równość, jest *różnica majątku* (census), mająca na celu wzbudzenie współzawodnictwa w życiu domowém, powściągnienie zbytków i nieczynności. Chociaż późniéj ta myśl zwichniętą została przez użycie wyższości cenzuelnéj na złe, na rzucenie niezgody pomiędzy obywateli. „Niech raczéj zaginie państwo, niech towarzystwa zapadną w przepaście starożytnéj dzikości, a byt ich niech pokryje rdza barbarzyństwa. Wówczas po długich wiekach odłogu, niech odrodzeni uczują na nowo potrzebę uprawy, i znów powstaje cześć, religia, prawda i dobra wiara, na których opiera się cała piękność odwiecznego porządku, założonego przez opatrzność.“ W takich to razach, kiedy powzięta myśl postępu społeczeństwa wykrzywioną zostanie niecnotą samolubów, albo dla ułomności rzeczy ludzkich skruszy się i gotuje do upadku, powstaje na ratunek silna prawica Opatrzności. W taki to sposób, po takich próbach odnowił Bóg społeczność europejską na gruzach państwa rzymskiego. Bo też ludzie, mówi Nowa Nauka, prowadzą wieczny chór życia i śmierci pod jéj okiem.

FELIKS JEZIERSKI.

GŁÓWNE POSTĘPY

MOWOZNAWSTWA.

(USTĘP 2 Z MATERYAŁÓW DO FILOZOFII MOWY).

Polegając na dwóch przedniejszych stanowiskach, całą naszą piśmienność mowoznawstwa odnieść można do dwóch zakresów: 1. Wznoszący się wprawdzie nad poziom zwykłéj fenomenologii zbiera w nieładzie rzucone zasoby; głównie pracując w krainie indo-europejskiéj, niekiedy nawet posuwając się za jej obręby, śledzi obiegi osiowe języków, i gotuje tym sposobem zywioł dla wielkiego układu powszechnéj mowy, wcielonéj, *objawionéj*. 2. Na złożonym i ułożonym ogromie podobieństw wsparty, buduje sobie wznioślejsze stanowisko, z któregoby mógł obejrzyć stosunki ducha do dźwięków, postaci i obrotów językowych, a śledząc znowu materyałów w pojedynczych, | lecz już planetarnych zawodach — wynalazł prawodawczą jedność i najwyższą zasadę filozoficzną w *objawiającéj* się mówie. — W wywiązujących się ztąd celach leżą nasiona dwóch odmiennych dążności — a tych końcem ostatecznym: sprowadzenie zjawisk mownych

do jednéj nierozdzielnéj postaci (Grammatyka porównawcza) albo do jednéj nierozdzielnéj idei (filozofija języka). Że myśl o jedności jest rzeczywiście środkiem do którego dążą obiedwie, dowieśdź najłatwiéj, — Albowiem, jak w mowie filozoficzny duch za pomocą niewielu czynników objawia przejście idei przez zakreślone jéj doby, tak również niewiele naczelnych głosów, czy to w przybytach czy w pierwiastku, prowadzi całą organizaciją mowy powszechnéj. Ale tu zarazem łatwo odgadnąć wyższość powołania jednego zakresu od drugiego: Teorija porównawcza ma się do filozofii, jak wykonanie do prawa, jak rzeczywistość do rozumu konieczności, albo, odważając się na myśl ogólną: jak zasada tworząca do zachowawczéj. Nie idzie jednak za tém, aby nauka rzeczywistości nie miała wysokiego miejsca w wieku, który woła i natrętnie upomina się o widoki, o ustawy wszechświetne, o filozofiją. Tego wysokiego miejsca dorabia się ona niemylnie, choć zwolna, częściowo, niekiedy nawet bez uznania. A ileż to razy węzeł filozoficznego mowo-znawstwa, już prawie skazany na przecięcie, ta mozolna nauka rozwiązuje w sposób zaspakajający, rozważnie, naocznie. Znowu nieraz jeden promyk szczęśliwy, jeden rzut podany natchnieniem — boć we wszelkiéj wiedzy żywioł rozwagi rozważyć się musi z natchnieniem, otwiera rozległe łono tajemnicy, któréj tysiące porównań, domysłów, badań, zdobyć nie mogły. Tak więc koniecznie zawód porównawczego i filozoficznego mowoznawstwa muszą sobie podawać ręce.

O potrzebie takiego pojednania, jeżeli kto, tedy słowianin najpierwéj zaświadczy. Wielka myśl ducha słowiańskiego (mocowego) zamknęła się w również wielką budowę. — Nie grzeszyłżeby ten, który z jednego zdania chciał o całém wyrokować dziele, albo z jednego włosa dawać wyrok o ustroju żyjącéj istoty? Podobny błąd popełniłby mowoznawca, obiecujący sobie wyszukanie ducha plemiennéj mowy z pewne-

go narzecza. Większém jeszcze plemieniem, niejako plemieniem narodów, jest rodzina indo-europejska, do któréj, jak podrzędny układ słoneczny do idei ogólnego ruchu, wcieloną jest i nasza ludzkość słowiańska. — Wyobrazicielami myśli o jedności słowiańskiéj i indoeuropejskiéj na niwie języka, są dwaj równéj potęgi mistrze: Dobrowski i Bopp. Jakkolwiek dzieli ich niejedno dziesięcio-lecie, mają wszakże ich pomysły wiele wspólnych rysów. I kiedy Bopp przed kilką laty, a zatém zastawszy już wiedzę języka na drodzę do szczytniejszéj przyszłości, rozdzielał i określał rzesze podług znamion rodowych, Dobrowski, prawie świadek poczęcia się nowotnéj myśli, już uznawał plemienne rodzeństwo narzeczy, i to uznanie na wstepie swojéj „Grammatyki języka cerkiewno-słowiańskiego“ w dobitnych odmalował różnicach: raz, roz i t. p. Niesłusznie byłoby przypisywać Boppowi piérwsze domniemanie o obecności zaimka, jako czynnego żywiołu w organizacyi słów. Ale równie wielkim był Bopp dla swojego wieku. Odziedziczając górne stanowisko, posunął je dzielną prawicą w myśl stulecia, posunął daleko. — Zaprawde, jest to obraz wcielonéj myśli badawstwa niemieckiego. — Twórczy, z rozlegle obejmującém materyał obliczem, ten o którym powiedziéćby można to, co wymowny Michelet wyrzekł o wielkim Niebuhrze: Bopp jest prawdziwą osobą najnowszéj teoryi, jest jednym z założycieli owéj bujnéj myśli XIX wieku, co to nie waha się do jednego ogniska sprowadzić wszystko widome i niewidome! Niemiec, nie znający częstokroć różnicy pomiędzy *b* i *w*, w tych zamknę wyrazach (szczegół), odważył się na tyle wniosków i tak szczęśliwych, że najostrożniejszy nawet teorytyk użyć się ich nie powstydzi. — Dzieło jego, jak powiedziałem wyżéj, przypada do fenomenologii. — Najotwarciéj zadanie jego, nieskierowane bynajmniéj do celów umoznawczych, wynurza przedmowa do „Grammatyki porównawczéj, Sanskryty, Zendy i t. d.“ „Zamierzam sobie, powia-

da on, porównawcze i w najogólniejszą pokrewność ujęte opisanie budowy rzeczonych języków, ze względu na początek form i prawa mechaniczne. *Ale nie będę się tykał tajemnicy samych pierwiastków.*" Pytanie dla czego? snać jeszcze się była niedostała myśl, że prąd siły żywotnéj nie tylko objawia się na całości (wyrazie), ale rozlany jest po wszystkich członkach ogranizmu aż do najdrobniejszych podziałek. Na taką myśl potrzeba było gniazda mieszczącego w sobie dwa znamiona umysłowéj godności słowiańskiéj: twórczość i natchnienie. Potrzeba było słowianina (Kamiński). Tak więc Bopp nierozbiera istotową t. j. pojęciową treść głosów, ale tylko treść organiczną. „W wielu razach znaczenie i źródło form grammatycznych otrzymuje się samo z siebie, przez rozszerzenie widokręgu mownego, przez zbliżenie rozdzielonych wiekami rysów rodowych. Rzecz widoczna, iż ten widokrąg rozparł się w granicach swoich przez wcielenie nowo-odkrytego świata Sanskryty do istniejących już obrębów — Sanskryta od wyrazów *sam* (z) i krtas (kriczynie) zrobiony, dokonany, oznacza mowę na stopniu *wykończenia.* — Stosunki staro-indyjskiego języka do rodziny europojskiéj, jakkolwiek dla miernego nawet oka widome, wymagają jednak częstokroć bystréj uwagi i wprawnéj, aby w rozlicznych i powikłanych składach dojrzanemi być mogły. Opuszczamy w naszym rozbiorze gałęź semityczną, jako obcą nam zupełnie, chociaż ona dość obszerną stanowi część dzieła. Ale Sanskryta rzuca wielkie światło na samo nawet wewnętrzne powinowactwo klassycznych języków. Choć, bowiem, jeszcze starożytni Rzymianie uznali w sobie ważną współczynność pierwiastku greckiego (mianowicie eolskiego), albo raczéj jednoczyli się w starszym nad oba stanowisku pelazgijskiém; wszakże dokonaniu teoryi *pokrewieństwa,* należy przypisać Boppowi (Analytical Comparison of the sanscrit, greck, latin, and teutonic Languages). Również jemu przypisać wypada dzieło wszechstronnego poró-

wnania języków germańskich z indyjskiemi chociaż zapowiedzianego już pierwéj przez Grymma i Humboldta. Pozostaje więc w tym wielkim drammacie jeszcze jedna znakomita osoba, słowiańszczyzna. — Dawniejsze pomysły dochodzą w mowie do postaci przeczucia, nieraz nawet w żart obrócone przez głowy targające się na wszelką śmielszą nowotność, pomysły wyrzeczone w bojaźni i pokorze, w żaden sposób dzisiejszym potrzebom nauki wystarczyć nie mogą. — Tutaj należy już powiedziéć śmiało, z zaufaniem, jakie ze starodawnych żywiołów krążą jeszcze po ciele naszéj, trzykroć ukochanéj mowy słowiańskiéj; w czém zachowała ona ślady przedwiecznéj postaci, co znowu zyskała na drodze pojedyńczych kolei i warunków, zmiéniając spadkowy ustrój i poddając go zawodowi, już to europejskich, już to plemiennych, już nakoniec ściśle narodowych dążności? Zadanie gotowe, zamiary skreślone czekają na prawicę odpowiedniéj siły. A w razie dopięcia takich zamiarów, czyliż się nie rozraduje serce słowianina, kiedy w patryarchalném gronie, między przodkami przodków ujrzy i coś swojego, kiedy pozna jakiś zmieniony, a czasem nawet zupełnie nie zmieniony głos, który dochować umiał przez wieki za strzechą wieśniaczą, za pługiem, na roli. O cudo! słowianin powtarza słowo indyjskie, jego duch przez taką szczelinę zagląda w jakiś tam świat niepamiętny. *Brat,* doszło u nas tylko w nieskażonéj postawie do podania (sanskr: bratRy — ztąd brateRski). Pojęcie o braterstwie przypada snać najłatwiéj do ducha słowiańskiego.

Całą teoryją Boppa można odnieść do dwóch oddziałów, t. j. do zasad *pierwiastku* i *przybytu.* W Iéj rozbiera Bopp pojedyncze głosy i śledzi je w zmianach dziejowych. Wybrawszy sobie za ognisko jednę najstarszą głowę wielkiéj rodziny, czyni tym sposobem wszystkie języki jéj narzeczami. A tak, w owym lenniczym układzie traci się, pomimo woli, osobowość języków, albowiem nigdzie doczytać się nie można

aby za podstawę, utrzymującą wszelkie zmiany, służyć miała jakażkolwiek filozofia miejsca, którą każdemu narodowi, jako zmniejszonéj tylko w okręgu ludzkości, niechybnie przyznać należy. Takie skierowanie teoryi, oczywiście porodzone w fenomenologii, pociąga za sobą ważne znamiona, idące przez cały przestwór „Grammatyki porównawczéj.“ Bo np. zjawiska głosowe, które w rozumieniu oddzielnych praw mowoznawstwa piastują właściwe sobie, a zatém organiczne powołanie, u niego nazywają się „unorganisch“ nieorganicznémi. Mam tu na myśli np. str. 337, gdzie słowiańskie zakończenie ojll (w 6 przypadku) zastępować ma nieorganiczne sanskryckie, a długie: wdowoj u (sanskryckie widawa ya), toboju (twaya). Obowiązkiem przeto (mowoznawców) Rossyan jest, zwrócić uwagę na podobny szczegół i wytłomaczywszy go w myśli ojczystéj, nadać mu stanowisko żywotne. — W takiém samém świetle oglądane słowa z przybytem Ę (w polskiém), wydały się autorowi zastępcami niby to najdawniejszéj postaci *am* (czytam). Gdy tymczasem rzecz w czystém źródle myślenia narodowego, zupełnie ma się inaczéj. Jeszcze ważniejsze niewyrozumienie ducha słowiańskiego spostrzegać się daje w części II „o przybytach.“— Częstokroć, jak mówi Bopp str. 342, wywody nasze mijać się będą z obrazami powszechnego zwyczaju; czyli, co na jedno wyjdzie: mowa słowiańska obrócona w górę ku wielkiéj jedności sanskryckiéj, przyjąć musi takie kształty, jakie się dla niéj z pierworodnych podań językowych wywiążą. — Jest to podnieść rękę na osobową godność plemienia. — Przypuszczamy, że nawykłość, którą słowiańszczyzna wyniosła z sobą z patryarchalnych siedzib azyatyckich, nawykłość wiekowa, wypartą być mogła nie inaczéj jedno przez również wiekową odwykłość. Wszakże w ograniczeniu rzeczy ludzkich, stulecia jedne i po nich drugie, koniecznie wydać muszą oddziałanie ducha miejscowego na podany mu materyał. A zatem przypuszczenia, jakiemi napeł-

niony jest oddział u Boppa. „Tworzenie się przypadków w starosławiańskiém“ poczynione na ciele umarłém, wtenczas tylko uzyskają wagę konieczności, kiedy się wesprą na żywéj, to jest rzeczywistéj anologii. — Np. mogę przypuścić, że pierwotny przybyt słowny jest JEM, kiedy w języku znajdują się jeszcze formy: śmiem, wiem — daléj podobieństwo przybytowych postaci, — stają, czytają, prowadzą mię wprost do pierwotnéj formy: czytają — czytajem i t. d. — Taką drogę wskazał nam wielki mistrz, Kamiński. — W tém samém prawie Bopp popełnia błąd: wyraz poseł wyprowadza od sanskr: putra (syn) i od perskiego puser (chłopiec). „Są też stronnice, które gotowiśmy odnieść do krainy urojeń: np. myśl ciągła o pierwotném zakończeniu imion na *S*, która ogarnęła i innych badaczy niemieckich (str. 356). Czém się to wszystko dzieje? oto tém, że uczeni za nic niemając mowy ludu, gnieżdżącéj się naprzód w duchu a potém przeniesionéj na usta, żywe i ruchome, sądzą o niéj, uwięzionéj w ciasną klatkę piśmiennictwa i w ciaśniejszą jeszczę klatkę grammatyki. — Ale grzechem byłoby w wytknięciu tych i tym podobnych usterek upatrywać najmniejsze lekceważenie potęgi i głęboko przenikającéj siły Boppa! Niemiałżeby celem uwielbienia i nauki być ten, który oburęcz chwyciwszy się ciężaru, podźwignął go mocą ducha, wywołał wszystkie żywioły, które kiedyś wysnuł z siebie świat indoeuropejski z semityczným, i ustawił szyki strojnego, rozległego układu! Pomijamy tu wiele imion, które przyczepiwszy do wielkiéj gwiazdy w częściowych zaworach, a niekiedy z dość ważnémi drobiazgami, odbywały za nim podróż obieżniczą; pomijamy nawet grubsze planety, którym się nawet wybrane miejsce na widokręgu mowoznawstwa należy, jako to: Potta „Badania źródłosłowowe“ W. Humboltda (w bibliotece indyjskiéj) Grymma, twórcę słynnéj grammatyki; Raska „O językach plemienia trackiego.“ Braci Schleglów. — Na ostatek tych, którzy dokonali dzieła przystosowania wywo-

dów porównawczych do szczególnych języków, Kühnera, Matthiae i tylu innych. Czynimy to nie z uczucia mniejszéj powagi ku nim, bo godziż się układać w starszeństwa takich np. olbrzymów jak Humbold, Schmidt? owszem, za zasadę wyboru przyjęliśmy interes słowiański. — Dodamy tylko, że jak wszelka dążność przebierająca miarę, tak i dążności sanskryckie, wyniesione do zbyt wysokiéj myśli o ojcowstwie staroindyjskiéj mowy, wywołały reakciją. — Stara filologia grecko-łacińska, do któréj nawykał świat przez kilka wieków, naraz przyciśniona dużém światłem indologii, za najpierwszém uderzeniem odezwała się znowu z prawami swemi do starszeństwa. Za wyraziciela téj odezwy uważać można np. pismo F: Graefe „Słowo sanskryckie w porównaniu z greckiem, ze *stanowiska filologii klassycznéj*" (w Petersburgu 1836).

Drugą osobą fenomenologicznego mowoznawsta jest Czech Józef Dobrowski. Zdawałoby się komu, że osadzając go po Boppie, minęliśmy się z pojęciem czasu. Wszakże z umysłu zachowaliśmy go na sam ostatek, aby tym sposobem zakończyć przegląd porównawczych teoryj imieniem słowiańskiém, aby zresztą, przyznając mu to, co się rzeczywiście jemu należy, oddali hołd wielkiemu imieniowi! Dobrowski kreślił także plan porównania, ale rozbity na przestrzeni właściwie słowiańskiéj — mimo to jednak, wnioski uczonego męża nieraz wylatują za wyznaczone obręby słowiańszczyzny. Nieraz tam znajdziesz coś ze świata germańskiego, romańskiego — a świat klassyczny stoi na zawołanie. Bo możnaż, zbierając pokarmy dla jakiéjkolwiek budowy, pominąć to, co się natrętnie nasuwa, co razi oczy podobieństwem? Bopp, jak powiedziałem, te dwa oblicza: Bopp i Dobrowski, mają coś niezmiernie pokrewnego — Bopp jest królem w państwie indoeuropejskiem, stałém, odwiecznêm, rozległém. Dobrowski w państwie słowian, bujném, odwieczném — w państwie życia, gościnności i myśli. Jak u tamtego przebija się raźnie sanskryta, a jéj hołdują

mnogie żywioły, tak perłą w koronie słowiańszczyzny jest jakieś patryarchalne, niewidome słowo, które stało się rozległém, składném i wszechstronnie organiczném ciałem. I cóż to jest za język? czy to język biblii, Konstantyna i Metodyusza, język morawski, serbski, lub bułgarski? — nie! nie jest to język ani Polaka, ani Rossyjana, ani Czecha lub Chrobata, lecz język słowian rodowy, nie narodowy. Wszystkie plemiona słowiańskie roszczą sobie prawo do téj świętéj spuścizny IX wieku, tak samo, jak wszystkie plemiona Grecii dowodziły prawa do Illiady. Illiada panteonem helleleńszczyzny. Biblia ogniskiem błogosławionéj jedności narodów, ktore istność najwyższą zowią *Bogiem*. A jako nie mówimy, że wyznanie téj lub owéj zasady jest wyobrażeniem pierworodnego typu wiary, lecz objawienie, tak w żadném z narzeczy nie gnieździ się duch plemienny, rodzony, lecz duch przyrodni tylko. Lecz język gramatyki, to rzecz inna, nauka zaczyna od wcielenia, bo gdzież znaleśćby już można nieskażony przyrodnością pierwiastek słowiański. Samo narzecze biblii upadło prawie, a przynajmniéj zachwiało się mocno pod przemożną prawicą pierwotworu (greckiego). Wyznajemy wprawdzie, że wpływy obce dotykają tylko powierzchni, i łatwo je można rozeznać i strącić; ale obczyzna długa, uporczywie czepiająca się ciała, a znoszona cierpliwie jako przedawnienie lub ważność, wpija się powoli i przedziera aż do krwi narodu. Pomimo to wszystko, mowa cerkiewna jest najstarszą dziejowo, i w niedostatku zastąpić może miejsce przedwiecznego źródła, z którego rozpłynęły się w różne kierunki głosowe, i w oddzielne drogi rozwinęły się szczególne narzecza. Mówimy w różne kierunki *głosowe,* bo pojęciowość narzeczy słowiańskich zachowała się prawie jedna — duch nie tak łatwo przyradza się jak ciało do ziemi i klimatu. Dobrowski uznaje jedność słowiańszczyzny, ale nie w idei, tylko już w rozdwojeniu. „Język słowiański, mówi on, wzięty w obszerniejszém znaczeniu roz-

dziela się na dwie gałęzie (wschodnią i zachodnią)." Tak więc piérwszy wyraz tekstu, zapowiada już zrozumiale fenomenologiczne znamię grammatyki. Chociaż, jak powiedzieliśmy, na drodze historycznéj zatarły się już rysy pierworodnego oblicza mowy słowiańskiéj, jednak nie idzie za tém, aby one miały już zaginąć filozoficznie. Tak jak w oddzielnych językach filozoficzne oko sięga tam, gdzie wzrok pamięci narodu nie sięga — pierwiastki jego (Dobrowskiego) są to także pierwiastki języka uchwyconego w dobie objawienia się, ale nie w dobie zachowawczéj. Ztąd na całym oddziale „pierwiastkowych zgłosek" (stamina) leży piętno niby zjawiskowości. — W rzeczy zaś saméj, pierwiastki te nie mają ani filozoficznego znaczenia — bo nie odpowiadają stanowisku *idei* — ani dziejowego — bo nie dadzą się odnieść do żadnego stopnia organizowanéj mowy. — W układzie ich głoskowym, twórcy grammatyki należy się chwała, iż pierwszy prawie zwrócił uwagę na żywotne stosunki głosek. Zawód porównania, jeżeli gdzie, tedy w tym oddziale najdzielniéj wykonanym został. Sama filologia klassyczna znajdzie tutaj klucz do niejednéj z tych wielkich tajemnic rodzeństwa języków, któréj na szczupłém polu, odłączoném od dziedziny słowiańskiéj, rozwiązać nie umiała. — Drugim współczynnikiem wyrazów (przypierwiastku) są zgłoski przybytowe (syllabae serviles) np. w wyrazie cnota, zgłoska *ota* jest przybytem, przybyta służą do *zmiany znaczenia.* Ale i przybytom Dobrowskiego brakuje zasady rozumowanéj: one mają tylko stronę głosową! Już nieraz mieliśmy zręczność dowiedzenia, że takiem znaczeniem przybyty obywać się nie mogą, że takie przypuszczenie porodzone oczywiście w empiryczności, wypowiada jawną walkę przeczuciowéj filozofii narodu, któréj ten koniecznie w zakładaniu i rozkładaniu języka trzymać się musiał. A tak współplemiennik nasz czcigodny, popełnił ten sam błąd w przybytach, jaki Bopp w pierwiastkach. — Rzecz dziwna, że ten

błąd przywiązany do szkoły zachodniego mowoznawstwa, bo i sam nawet Becker, nie tylko że się go nie wyparł, ale owszem wparł się w niego (o czém późniéj). Tém mocniéj przychodzi się nam dziwić, że znaczenia pojęciowego przybytom odmawia tenże sam badacz, który w dalszym ciągu swéj pracy, doszedł do wielkiego wniosku: „O obecności zaimka w deklinacyach (szczególniéj przymiotników).“ Wniosek ten stanowi najpiękniejszą, mojem zdaniem, ozdobę pracy Dobrowskiego. Wszakże podobało się Niemcom przywłaszczyć sobie tę zasługę! ciekawym na jakiéj zasadzie? czy dla tego, że po raz piérwszy zjawiwszy się na ziemi słowiańskiéj, nie uzyskała prawa obywatelstwa u obcych? Któż temu winien, że gościnność nasza, nie zamykająca drzwi nawet przed wyobrażeniami wędrównemi, im jest nieznaną! Zresztą, było to zawsze wadą uczciwego z każdéj inny strony słowianina, milczeniem, a czasem nawet nieprzystojnemi pochwały, utwierdzać obcych w niekorzystném mniemaniu, iż człowiek od wschodu nié ma w sobie siły tworzącéj. Tak np. nikt nie weźmie sobie za obowiązek wyprowadzenia uczonych niemieckich z tego fałszywego przekonania, że początek i tworzenie się form przypadkowych, jakkolwiek mógł o tém już ktoś piérwéj pomyślić, (ale zapewne ktoś z uczonych niemieckich w roznmieniu P. Weissenborn, którego to są słowa), lecz *dopiéro* Fr. Bopp w znakomitém dziele „O przypadkach“ dowiódł, iż one tworzą się przez przyczepienie form zaimkowych, owszem, nawet słowianin przyznaje to odkrycie komuś obcemu nie sobie! Tymczasem to jest odkrycie Dobrowskiego: „pierwéj nim przedstawimy obraz zmian przymiotników (mówi on w Części II § 16), wskażemy odmiany zaimka, albowiem przymiotniki pożyczają zakończenia od zaimku *i ja,* je np: błagyj, powstało z błag-ij-, błagaho (dawniejszebła haaho) z błaga-jcho.“ Daléj Dobrowski upatrzył w organizacyi słów obecność żywiołu osobowego, chociaż tę myśl mógł nabyć już drogą spad-

kową. — W rozwijaniu się form, system dóbr nie uzasadniony jest także na stanowisku bezwzględném, ponieważ za zadanie wziął sobie mowę słowiańską, nie w widzy (idei), ale w stanie dziejowym. Dla tego nazywa nieforemnością to, co jest zabytkiem pierwotnego jéj typu (np: słowa na *m*):

Ale cóż powiedzieć o tych miejscach, gdzie autor „Źródłosłowa" i tylu prawdziwie postępowych utworów, zarzuca sieć daleko i głęboko w materyały ogromne, bezdenne! gdzie pod jeden wzgląd ogarnia najodleglejsze zjawiska narzeczowe! mnogość milionową ustawia w porządek. Wyrzuca to z ciała słowiańszczyzny biblijnéj, co w nią naszło z greczyzny lub łaciny, oczyszcza tekst z narostów narzeczowych, za jedném dotknięciem rozeznaje wpływ serbski, polski, wielkoruski: Dobrowski jest twórcą nowszéj filozofii słowiańskiéj, jak Bopp indoeuropejskiéj.

Drugą stroną w wiedzy języka jest *filozofija języka.* Jéj to zadaniem jest uchwycić mowę objawiająca się w duchowém ognisku, a język uznać za materyał, w którym idea przenosi się w świat znamion. Ale filozofija mowy, jako wprost zaprzeczenie fenomenologii, musi na niéj polegać, bo rzeczywistość jest nic innego, jak tylko rozwinięcie członkowe wielkiéj żywotności filozoficznéj, i nawzajem: porównawcze wywody, wydając oczywiste podobieństwo dróg odbywanych przez ducha, prowadzą do jedności (do filozofii), kierującéj temi drogami. Jak zmysły są kładką, która przeprowadza od Ja podmiotowego do przedmiotowego Nieja, tak badania o szczegółowych gałęziach mowoznawstwa torują przejście od materyalnéj nauki języka do nauki rozumowanéj. — Wyobrazicielem takiego przejścia może być np. Hartung: „O przypadkach, ich znaczeniu i tworzeniu się w greczyźnie i łacinie" Hartung, jako porównawca (a takim jest istotnie), przypomina fenomenologią, bo wyszukuje podobieństwa głosowego w formach greckich, łacińskich, germańskich (nie kiedy) sanskryckich), ale

tenże sam Hartung, teoryją *znaczeń* obrócony jest ku drugiéj połowicy nauki, bo wyśledza punktu filozoficznego, na którym cała budowa form obraca się od początku języków. Sam tytuł dzieła zapowiada wspomnioną przez nas dwoistość: tworzenie się i znaczenie (dziejowość i rozumowanie). Zwrócimy uwagę na piérwsze:

Najpiérwszym aktem naszego życia jest zmysłowość, więc w pojęciu zmysłowém, że się tak wyrażę, tworzy się pierwszy zawiązek znaczenia: Domyśli się czytelnik, że ten wniosek już od świętéj pamięci wyrzeczonym został przez S. Lindego, we wstępie do słownika. Ponieważ nasze zmysłowe spostrzeżenia osadzone są na warunkach przestrzeni i czasu, więc najpierwszą posługą przypadków jest oznaczenie miejsca — a późniéj czasu. Troistość stanowiska przestrzeni jest formułą dla czasu i dla wewnętrznych stosunków (trzeci warunek); ogólne znamiona tych stanowisk są: gdzie, zkąd, dokąd, w nich leżą nąsiona trzech przypadków: spoczynkowego, dążności, początku.

Spoczynkowi odpowiada: Dativus, ablativus, instrumentalis; dążności accusativus; początkowi genitivus — Ruch, czyli znamię dążenia, odznacza języki dawne; Polak mówi: zbudować most na rzece; Rzymianie: *coniicere pontem in flumen;* Polak mówi: pod miastem, Rzymianin: *ad urbem esse.* W rzeczy saméj, wygorówania dążności starożytnych do uobrazowania pojęć, do napojenia ich zasadą życia, objawia się i w postaciach mownych. Daléj Hartungowi przypisać należy myśl o pochodzeniu cząstek mowy nieodmiennych — on uważa je za skamieniałe organizmy. Téż samą myśl, osadzoną na przysłówkach polskich, winniśmy czcigodnemu twórcy grammatyki języka polskiego Muczkowskiemu, ten światły mąż, chwała imienia naszego pod względem piśmiennictwa, zeszedł się z Hartungiem, ale nie naśladował go bynajmniéj. Te i tym podobne zasady dowodzą, iż stanowisko Hartunga, będąc nie

całkiem filozoficzne, nie może téż wyłącznie być odniesionem do dziedziny zasobów; — forma i ujęcie jego jest jeszcze przypomnieniem ścisłego dogmatyzmu niemieckiego, należy do filologii klassycznéj. Drugą osobą przejścia jest Rapp „Fizyologija mowy“ (wydana od r. 1636 — 1841) jest znakomitym meteorem wstępu wiedzy językowéj. Rapp, puszczając na morze badań z porównawczéj grammatyki, wiąże się z pierwszém stanowiskiem, ale Rapp jest już filozofem, kiedy mowę rozważa z punktu przyrody (Natur. produkt); kiedy jéj wyznacza własną siedzibę. Mowa uchwycona w wielkich wymiarach, nie spoczywa bezczynnie w niezmienności, ale posuwając się, przechodzi stopnie rozwoju. Pod tym względem ma ona udział w dziejowym postępie ludzkości. Pytanie w czém się zawiera fizyologiczność mowy? oto w tém, że mowa nie jest dziełem człowieka, ale ducha ludzkości — Więc mowa nie jest w sobie, nie jest podmiotową, ale jest dla siebie przedmiotową, materyalną, zewnętrzną, jak sam układ natury. Mowa przedstawia więc w sobie istotę natury. Nawet generacyjne zmiany, zachodzące w niéj, tego podobieństwa (do natury) nie osłabiają, ponieważ i natura ma także stanowiska rozwoju. Poddawać organizacyją mowy pod ogół natury (bo ma w sobie głosy, żywioł materyjalny) i ludzkości (bo jest utworem rodzaju), nie jestto bynajmniéj czynić ją dzieckiem *umowy* spółecznéj, albowiem ma ona swoje właściwe *prawa przyrodzone*. Rzecz dziwna, że autor *Fizyologii* mógł w systemie swoim przypuścić razem dwie odwrotne myśli: nazywając mowę utworem przyrodzonym ducha, nie uznaje wpływu przyrodzenia na wzrost jéj fizyologiczny?

(d. c. n.) Feliks Jezierski.

DWA USTĘPY
Z ŻYCIA NIEZNANEGO WIESZCZA

Methings i see... Where?
— In my Mind's Eys.
Shakespeare.

Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny.

Ciemność z Bajrona.

I.

Zegar północ uderzył — dźwięk śpiżu daleko po czystém rozległ się powietrzu. Ulice były puste, mróz trzaskający. Zwolna w oknach ozdobnych kamienic światła gasnąć poczęły; w niektórych tylko jeszcze pałacach rzęsiste oświetlenie wesołe owidniało zabawy, i znów gdzie niegdzie ponuro paląca się lampa albo cienka świeczka, na trzeciem lub czwartem piętrze, albo na samém poddaszu, świadczyła, że tam *nędza* ma swoje schronienie — *nędza* skracająca chwile spoczynku dla zarobienia skromnéj żywności na jutro!... Szczęście i niedola, biéda i zbytek, jakież to blisko i często z sobą graniczą!

W jedném z owych lichych mieszkań na poddaszu, także się jeszcze świeciło: w małéj izdebce, w któréj wzorowy porządek i czystość najwyższego nie pokryły ubóstwa, siedziała kobiéta młoda w lata, lecz gorżkiem doświadczeniem starsza od najsędziwszych; chorobliwa bladość pokryła jéj lica, usta okolił wyraz cierpki — wyraz oznaczający boleść wewnętrzną; czasem mimowolne uleci westchnienie — jest to odgłos zakrwawionego serca! — Ona szyciem zajęta, lecz skrzepłe od zimna ręce zaledwie zdołają igłę utrzymać — łzy wzrok jéj zacieniają — biédna! to ociera powieki, to z troskliwością, jaka tylko serce matki ożywiać może, spogląda na łóżeczko gdzie mała dziewczy ka snem niewinności się krzepi.

Przy dużym, papiérami zasłanym stole pisze mężczyzna — i on młody jeszcze, lecz i na jego czole cięźka troska swoje wyryła piętno. Na zaklęsłych licach suchotny połyskuje rumieniec — tętna jego drzą gorączkowo, ale zwiędłe usta umila uśmiech, w wielkiém czarném oku jaśnieje spokój — odblask jego pięknéj duszy! — Ktoby go teraz ujrzał wyrzecby był zniewolony: ten człowiek z cnotą zawarł przymierze! — w tém sercu jedynie szczytne mieszkają uczucia, jego szlachetna dusza pragnie tylko szczęścia swoich braci!.... — Ręka wychudła szybko po szarym posuwa się papierze — a jednak zaledwo część setną wzniosłych myśli pochwycić zdąży; myśli, które w jego głowie najobfitszém krążą bogactwem; myśli, które pierś jego rozsadzają, któreby wystarczyły na uszczęśliwienie całego rodu ludzkiego!... — On tak szczęśliwy w tę chwilę — on się od ziemskiego oderwał świata: przeniósł się w krańce szczęśliwszéj przyszłości!.... zapomniał na chwilę o nędzy!.... On marzy — wzlatuje — nieba swą duszą dotyka!..... rysy jego z każdém tętna uderzeniem większym osłaniają się blaskiem — ręka drzy coraz bardziéj — coraz się śpiesznićj posuwa —

oczy nadziemskim iskrzą się ogniem — serce bije gwałtownie — boskie natchnienie owiało całe jego jestestwo: była to święta chwila *poety!....*

Śpiéw do Ludu gotowy!... wieszcz powrócił na ziemię — lecz uśmiéch rzewnéj radości nie uleciał z oblicza. Niebiańskim wyrazem oka przebiega to, co chyżą ręką nakreślił — pierś jego niewysłowném wznosi się uczuciem!.... Lecz powoli odblask wewnętrznéj roskoszy poczyna znikać z rysów — cień żalu zalega czoło — wieszcz kurczowo ściska dłonie.

„Oni to wezmą jako towar zwyczajny!..... ja kupczyć muszę lubemi dziećmi uroczych chwil natchnienia!.... oni przetrząsać niemi będą!.... Ach muszę, muszę je rzucić na pastwę świata, pod sąd płytkich nieraz umysłów, które mnie nie zrozumieją, nie odczują myśli moich!.... Oddam je za garść podłego kruszczu, ażeby zań kupić chleba dla zgłodniałéj rodziny!......“ — i nieszczęśliwy zakrył twarz dłońmi pałającemi.

Po chwili odsłonił zasmucone oblicze — począł składać papiery — w miejscu pięknych rymów kreślił liczby — i znowu poczęły się rozjaśniać jego rysy.

„Będzie dziesięć arkuszy druku!... O moja Maryjo! i ty luba, maleńka dziecino! już wam zimno, już wam głód nie dokuczy!“ — Załzawiły się oczy jego... Kiedyś było lepiéj!... niezaprzeczone w społeczeństwie miejsce i obfity dostatek jednały przyjaciół, uprzyjemniały dzień każdy — *nie znano dlań nagany, bo ta się tylko na świecie dla nieszczęśliwych przeznacza!* — *Wszystko* znikło!... szczęśliwa przeszłość znikła w ziemskiéj kolei — pozostały cierpienia!.... Ale te cierpienia są niezasłużone.... to tylko Bóg dzieci swoich doświadcza!.... Poświęcenie się dla dobra współbraci sprowadziło niedolę i nędzę! Bóg to widział, i Bóg też udręczenia usunie i piękne czyny nagrodzi!..... — Rzewna radość osłoniła znowu lica *poety:* te marzenia o szczęśliwéj zmianie losu

wiały pociechę w duszę wyłącznie szlachetnym przystępną uczuciom — w duszę gorejącą ufnością i wiarą!

2.

Zciemniło się zupełnie — Maryja chora od kilku tygodni podniosła się z ostatniem niemal wysileniem, i potem oblana, gwałtowną trawiona gorączką, zawlokła się do łóżeczka niebezpiecznie słabego dziecięcia. Uklękła, — pochyliła się nad najmilszém szczęściem swojém na ziemi!... Oddech dzieciny był ociężały — twarzyczka blada — powieki przymknięte: byłże to sen lub stan znacznéj słabości?—biédna matka nie umiejąc tego rozróżnić pochylona nad dziecięciem każde jego tchnienie chwytała. Okropna obawa zaległa jéj łono — a Stefan, mąż jéj, nie powracał!.., on poszedł po lekarza — zabrał ostatnią suknią, ażeby ją na lekarstwo spieniężyć — i tak długo nie wracał!.....

Niedola biednéj rodziny do najwyższego doszła stopnia. Stefana minęła nadzieja — ach tak błoga nadzieja! — polepszenia bytu drogich mu istot: księgarze zatrzymawszy jego utwory, od dnia do dnia odwłóczyli stanowcze wyrzeczenie — w ówczas gdy Maryja i jéj dziecię z niedostatku i ztąd wynikłéj choroby, z dniem każdym więcéj do grobu zdążały! — potém mu zwrócili rękopisy: bo jego imię wcale nieznaném było. Nadto pan X. — któremu się niegdyś udało kilka niezłych napisać wierszyków — wydał niedawno trzy tomy swoich *poezyj* w dwóch tysiącach egzemplarzy; o tych to poezyach po wszystkich mówiono salonach, w dziennikach wie-

le o nich pisano, — każden księgarz znaczną ilość zakupił — pocóż mu zatém było nabywać *jakieś tam* wiersze nieznajomego człowieka!.... o którym, zapytany pan X. wcale nie pochwalne wyjawił zdanie. — Może kiedyś utwory pana X. lichemi nazwą ramotkami — ale dzisiaj, on jest ulubieńcem wielkiego świata — dzieckiem szczęścia! — do niego więc i sława poety należy! — pamięć Stefana chyba się póżniéj uwieńczy.....

Niewysłownie dręczona różnemi przypuszczeniami, podniosła się Maryja z ciężkością, i chwiejąca się z osłabienia wyszła do drugiéj izdebki; otworzyła okno i wychyliła się na ulicę, wąską i ciemną: Stefana ani widać ani słychać nie było.... Ona-by już z oddali poznała odgłos jego stopy!.... Owiana nagle styczniowym wiatrem — pot się zmroził na jéj czole — lecz Maryja ciągle patrzy i słucha czyli Stefan nie nadchodzi Śniég począł padać, popruszył jéj głowę — drzała z zimna i niepokoju — ścisnęła skrzepłe ręce — suche oczy wzniosła ku niebu: było szaremi zakryte chmurami — żadna nie przyświecała gwiazda, tak jak nieszczęśliwéj żaden połysk nadziei nie jaśniał! — Śnieg coraz gęstszemi leciał płatami — wiatr się wzmagał — Maryja znowu natęża ucho..... posłyszała tylko wesołe biesiadników odgłosy!... Jękła — ugięły się pod nią kolana — upadła na ziemię, głową uderzając o przymurek okna — lecz nie czuła bólu, i dopiéro gdy śniég na jéj czole w wodę zamieniony po wynędzniałém spłynął licu, ocknęła się, i z wydobyciem sił ostatnich powróciła do chorego dziecięcia. Przytuliła się do wezgłowia maleńkiéj i z rozpaczą przycisnęła ręce do pierci — Ach! ona się już modlić nie mogła!.....

Niezadługo lekkie kroki rozległy się po wschodach — zmierzały prosto ku drzwiom: to tylko świadomy miejsca mógł tak bez zatrzymania się po ciemnych zakątkach do tego biednego trafić mieszkania!.... Czemuż Maryja nie słyszałą że to Stefan nadchodzi?

— Nie zastałem lekarza, dla tego tak późno powracam Lekarstwo, które dzisiaj rano zapisał, przyniosłém z sobą.... Maryjo, czy słyszysz?

Lecz Maryja nic nie odpowiada — Stefan pochyla się ku niéj: zimna jak lód!... nieszczęśliwa zemglała!.... jednak po chwili wróciła znowu do życia, ażeby cierpieć na nowo!....

Stefan ją zaniósł na łóżko i kroplami orzeźwił — usiłował pocieszyć jéj umysł, zapewniając że lekarz niebawem nadejdzie.

Przyszedłszy cokolwiek do siebie, Maryja ujęła lekarstwo i wsparta na ręku Stefana znowu uklękła przy łóżeczku drogiego dziecięcia.... rączki jego zimne.... główka... całe ciało zimne.... matka się pochyla — przytyka w nieméj rozpaczy ziębnące usta swoje do skrzepłych usteczek maleńkiéj... dziecię żadnego już nie wydaje tchnienia: anielska duszyczka powróciła do niebieskiego Ojca!.... — Maryja zawrzasła — ach! pierś, z któréj się taki jęk wydobędzie, pewno już nigdy innego głosu nie wyda!.... Maryja martwa upadła na ziemię: matka nie przeżyła swojego dziecięcia!...

Stefan wziął ją w swoje objęcie — przycisnął do piersi — wyrył pocałunek na zmienionych śmiercią ustach — było to ostatnie pożegnanie!..... Potém ją położył — obłąkanym wzrokiem chwytał nieruchome, lecz jeszcze piękne rysy...... i rozśmiał się!......

Wiatr silny uderzył śniegiem w szyby — zabrzękły — licha lampa zaskwierczyła rzucając dogorywające światełko.... Przed oczyma Sfefana dziwne, straszliwe poczęły snuć się widma — każde z nich świszczało przeraźliwie — w ręku trzymały kości, trącając jednę o drugą.... Ten miał czaszkę z ołowiu, ten serce z granitu dyamentami osadzone; ten na nagich kościach piersi pozawieszał krzyże brylantowe — tamten kładł na opadły z ciała palec wielki *sygnet* herbowy, a pierścień spadał mu co chwila, — i wszyscy się śmiali, sykali i

tańczyli — a każda larwa podobną była do którego z przyjaciół lub znajomych Stefana. — Ten mu obiecywał pomoc swoję, i ściskając go, ostremi kośćmi rany w piersiach porobił; ten zapewniał, iż los nieszczęsnego wpływami swemi w krótce zmienić potrafi na błogi, a przypiął się bezustnémi zęby do niego i krew mu z serca wrzącego miłością braci wyssysał; ten mu o *protekcyi* obcą prawił mową, a szponami mózg z głowy jego wydzierał.... Stefan uczuł ból dotkliwy.— Pisk się wzmaga i szalony larw taniec — ogniste obręcze krążyły pomiędzy niémi, jaskrawe płomyki pływały w przestworzu — widma okoliły Stefana, i począł skakać porówno z niemi — śmiać się z wściekłością! — ból ustał i lepiéj mu było..... Przesadzali się w uciesznych pląsach, a wszystkim przodował Stefan..... Powoli przecież piekielna *sarabanda* ustawać poczęła — larwy niknęły jedna po drugiéj — świszczenie ustawało — lampa jednym jeszcze płomykiem zabłysła — ostatnim! — i z psykaniem zagasła: ciemność pochłonęła wszystkie przedmioty — głucha nastąpiła cisza. — Po chwili niebieskawe światło oblało ściany — białe obłoczki różanemi przykraszone promieńmi pływały w około — złotowłose aniołki wychyliły z nich urocze twarzyczki: jeden był do dziecięcia jego podobny!..... Zbliża się luby posłannik Nieba, trzymając wieniec bluszczowy w rączkach — i kładzie go na skronie Stefana..... Drobne gałązki dziwnie grzeją go w głowę — palą — wysuszają mózg jego: każden listek — każden mały korzonek zdaje się być gorącém żelazem.... Ale aniołek się uśmiecha — pochyla ku niemu różane lica — wonny oddech jego chłodzi skronie Stefana — ból dotkliwy ustaje!.... Aniołek się oddala — powraca do niebieskich braci swoich — uśmiecha się ciągle — wyciąga ku niemu rączki!... W tém mgła sinawa osłaniać poczyna wszystko — czarowny obraz usuwa się coraz bardziéj — różowe tylko jeszcze zarży się światło— słabnieje coraz więcéj — co-

raz więcéj.... i znika!.... Mignęło coś jasnego w oczach Stefana: niewiasta w śnieżnéj szacie! — rzewny wyraz błyszczy w jéj oku — wdzięk niezwykły umila na pół roztwarte usta: zdaje się, iż lada chwila przemówi!... lecz tylko ręką skinęła..... to jest Maryja!.... jego Maryja!........

Zastukano we drzwi — wszedł lekarz: przyjaciel ludzkości nie zaniedbał i o tak późnéj porze, wśród śniegu i zawiei, nędzarzy pod strychem odwiedzić; — dziwi się nad ciemnością, która go otacza — woła — nikt nie odpowiada — zbliża się do łóżeczka — chwyta dziecię: już ostygło!..... Cofa się z przerażeniem — woła na sąsiadów — przynoszą światło...... smutny obraz przedstawia się oczom jego: matka i dziecię nieżywe! ....

Nazajutrz Stefan był w domu obłąkanych.

Paulina z L. W........

Kronika Piśmiennicza

POLSKA.

166. *Reszty rękopismu Jana Chryzostoma Paska, spisane i wydane przez St. A. Lachowicza. Wilno, u Glücksberga* 1843 *str.* 411 *w* 8 *większéj.*

Jan Chryzostom na Gosławcach Pasek, deputat z powiatu Lelowskiego na koło rycerskie za króla Michała Korybuta a pierwéj towarzysz pancerny, pisał pamiętniki, pełne jędrnéj siły, ważne pod względem dziejowym. Wydane temu lat kilka, miane były za podrobione, aż oto, oprócz innych ich autentyczności dowodów, ukazuje się teraz rękopism, pod napisem: „Reszty i t. d.“ którego to napisu niezmieniając wydaje p. Lachowicz, ostrzegając na samym wstępie jednak, aby nie był wydany przezeń rękopism, za część braknącą w dawniéjszéj edycyi uważany. Za ogloszenie tak ważnego dziejowego źródła drugiéj połowy XVII wieku, winniśmy szczerą i wielką wdzięczność szanownemu wydawcy.

167. *Legendy, zebrał Ks. Hołowiński. Wilno u Glücksberga* 1843 *w* 8. *str.* 144.

Trzeba było dać tytuł: „Legendy, opiał złym wierszem i niepoetycznie H:“ a byłby przynajmniéj tytuł nieuwodził. Jest to praca bez żadnéj wartości, pod wszelkiemi względami — ale za to jakie ładne okładki!

168. *Ulana, powieść poleska przez J. I. Kraszewskiego, Wilno u Glücksberga* 1843 *w* 8. *mniejszéj, str.* 274, *papiér biało-szarawy, gruby, druk ładny.*

Kto się ma bardziéj cieszyć? — czy pisarz który pisze postępowo, czy postęp mający stronnika?— to rzecz pewna, że dla J. I. Kraszewskiego, od czasu kiedy napisał artykuł o synach i córkach wieku do Pielgrzyma, i kiedy wyrzucił z warszawskiego wydania swych poezyj, ów wierszyk o Panu, który to, choć go nie roztrącił pędząc konno, jednak go poplami — ale tylko błotem,— to pewna, że dlań lepiéj jest do pisarzy dzielnych należyć, niżli dla nich, żeby on się przyłączył do sprawy samodzielnego rozwijania ducha! Bo proszę was szanowni czytelnicy, czy może spotkać większe nieszczęście pisarza pełnego talentu jak to, żeby się zestarzał, zakwitł pleśnią i jako lada lichy ramociarz i francuski gdyrał na tych, którzy mają myśl i pióro trochę mniéj tępe, niż cała zgraja filistrów. O zapewne że nie! a p: Kraszewski znalazł się na swoje nieszczęście w tym przypadku!! — Czy ze swojéj winy? czy zwiny koteryj wiecznych wielbień? tego to już niewiem, to i dla mnie i dla was małoznaczące! ale teraz zwiastuję wam wielką nowość, nowość nader ważną dla pana Kraszewskiego — a tą jest: że znowu napisał ten znakomity nasz autor powieść wyborną, powieść dążeń zdrowych i czerstwych — *Ulanę.* Przebija się w niéj trochę wielmożności, trochę owéj brzydkiéj

wilgotnéj pleśni, panującéj w artykule synowie wieku, — ale ileż ślicznych miejsc, ileż dzielnych dążeń! — Ulana jest istnie jako Van Dyckowska *Danae* w drezdeńskiéj Galeryi obrazów — cudne malowidło, choć je pleśń wilgotna psuje i szpeci.

Ulana, według mowy Ludu Mazowieckiego Ulina, t. j. Alina czyli Halina — chłopka poleska, jest bohatérką powieści. Niepojmujemy dlaczego autor kazał jéj w młodości służyć we dworze — jest to niby, ażeby ją bardziéj ucywilizować, ale sposób bardzo źle wybrany: bo Lud w służbie dworskiéj raczéj się odcywilizować może!.... Jednak do rzeczy, bo to jest jedną z owych pleśni — równie jak to, że Halina marząc o poetycznéj Miłości Bóg wié dlaczego zowie ją pańską! — To rzecz pewna, że panowie wcale prozaicznie umieją kochać — że też o tém nie wiedziała Halina, choć służyła we dworze! — Ulana, chłopka, ma męża, niezbyt powabnego a zazdrośnego, i dwoje dzieci, które kocha nadewszystko, — ale ona jest marzycielką — ona ściga jakieś ideały — miłości, spółczucia — a przytém jest tak piękną. Dziedzic wsi, Tadeusz, człowiek goryczami świata zdręczony — samotnik — spotkał Ulanę, pokochał ją — i otrzymał jéj wzajemność w najwyższym stopniu. Namiętność Ulany gardzi męża gniewem i zemstą — gardzi szyderczym, pogardliwym świata uśmiechem, — odpycha miłość dzieci, aby się zupełnie Tadeuszowi oddać. Ale Tadeusz, to zwyczajnie pan, kochał — ale gdy Ulany miłość się coraz wzmagała — w nim ostygła — wyjechał nakoniec i — ożenił się. — Ulana kończy samobójstwem. — Tę śliczną powieść oddał Kraszewski mową, wznoszącą się niekiedy do wysokiéj poetyczności, a wątek cały, tak pięknie utkany, pełnémi, zwykłych jemu, siły i wybitności obrazami obyczajowémi poprzeplatał. Charaktery odkreślone, w pełni życia, dążenie niedość wybitne; gruppowanie osób i wypadków szczęśliwe; stopniowanie odcieniów miłości Ulany jest za powolne — bieg rozłożony stosownie, trafnie. Powieść ta czyni zaszczyt Kraszewskiemu,

czy jednak tor zapleśniałych idei, które był pochwycił, z Ulany z pewnością wnosić niemożna, bo jego (autora) osobiste zdanie, o całéj postaci wypadków niedość wybitnie wyrażone. Jednak już i samo wprowadzenie ich jest zaletą. — Ale od filistrów niech się Kraszewski okiasków nie spodziewa.

169. *Powiastki i obrazki historyczne przez J. I. Kraszewskiego. Wilno u Glücksberga* 1843. *w* 5. *str.* 206.

Zbiór to ślicznych obrazków, znanych już po większéj części, obrazków krytycznych dziejowéj przeszłości kraju naszego, dziejowych postaci. Kraszewski jest w tym przedmiocie nieporównanym mistrzem. — Czy to Synod Klechów podgórskich, lub Dziadów w XVII, lub Klechę wojaka Albertusa, czy Rybałtowską komedyję, lub Bijodrafiję Stanczyka nam kreśli,— wszędzie w pełni życia, w postaci krytyczną myślą pojętéj stają nam przed oczy. A zaklęcie to nawet się rozciąga do mniéj żywotnych postaci.— Weźmy Dijalog wielkonocny z początku XVII wieku lub szkic Marcina Kaptura, lub Wieczór w Czarnym lesie, albo szkic Dorotka, — i tu pełność życia, i tu krytyczne obrobienie. Obrazkom historycznym — nié mamy żadnego zarzutu do uczynienia: są wyborne. — Najmniéj dobrym jest Wieczór w Czarnym lesie i Dorotka. Marcin Kaptur według opowiedzi Niesieckiego, za bardzo trąci szlachetczyzną.— Ale o Klechach, Rybałtach i Dziadach, szkice są przecudne. Z serca pragniemy aby takich obrazków jak najwięcéj nam kreślił J. I. Kraszewski, z serca życzymy, aby je wszyscy czytający mieli w ręku i głęboko zbadali. *D.*

ROZMAITOŚCI.

U Glücksberga Teofila, w Wilnie, ma wyjść Ewangelija rozmyślona, *Evangile medité* — przekład z francuskiego przez Józefa Szymanowskiego. Tomy piérwsze wyjdą dopiéro w styczniu 1844 r. Żałować należy, że tłumacz nie wybrał sobie jakiego innego dzieła z literatury teologicznéj, gdyż Ewangelija rozmyślana, jak prawie wszystkie tego rodzaju francuskie książki, nié ma zalet takich, jakieby były żądane po dziele mającym być w codzienném użyciu Chrześcijan.

J. I. Kraszewski napisał i ukończył już wiadomość o pracach i życiu Michała Grabowskiego — artykuł ten ma być wytłoczonym w Athenaeum — niemamy się jednak ponim nic dobrego spodziewać: P. Kr. nie pojmuje stanowiska p. Gr. — i cóz dziwnego? wszak pan Gr. ciągle chwali Kraszewskiego!

Teofil Glücksberg ma do Athenaeum dołączać wizerunki żyjących pisarzy polskich — pewnie żadnego Warszaszawianina nie będzie w tym zbiorze, bo nas Wileńscy litera-

ci cierpieć nie mogą — A dlaczego? bo im czasem (ale tylko czasem) prawdę mówimy — a prawda w oczy kole.

Pan Jarosz Bejła wydał drugi tom swoich mięszanin, — rzecz niepojęta do jakiego to stopnia mogą się posunąć ludzie, kiedy, kiedy, *aż dwa tomy mięszanin* można było napisać!! — Że też są ludzie którzy jeszcze czytają Bejłę! —

Ma wyjść: Mieczysław, poemat dramatyczny — może już i wyszedł dotąd, bo my w Warszawie nie możemy się uprosić niewarszawskich panów księgarzy, aby nam przysyłali, już nie mówię egzemplarze, ale tylko tytuły dzieł, które wydają — porto najchętniéj byśmy płacili, a odbyt książek byłby większy. Redakcije zaś, choć swoich mają wszędzie korespondentów, wiadomości się doczekać nie mogą — Najlepszém na to dowodem: stare *Nowości* drukowane w Biblijotece.